



Nr. 24. *Z dnia 8 grudnia 1903 r.*

Nowa klimatyka.

Pod tym tytułem umieściła Szanowna Redakcja artykuł w przadostatnim nrze Tygodnika z podpisem „St.“

Rozejrzawszy się bliżej w rzuconych myślach w owym artykule, niejeden Zakopianin musiał znaleść klucz do rozwiązania, jeżeli nie wszystkich, to wielu zagadnień chwili.

Mimo najszczerszych chęci i najprzyjaźniejszych uczuć dla Zakopanego, wszyscy to zgodnie stwierdzają, że Zakopane się podnosi za powoli, że się rozwija ciężko, i że taksy ściągane od gości nie stoją w tym stosunku do urządzeń w uzdrowisku, aby były usprawiedliwione.

Od kilku lat słyszymy o staraniach rządzących czynników o wodociągi, światło elektryczne, kanalizacyę (czy doły kloaczne), dom zdrojowy, park itp., lecz słyszymy także, że owe czynniki ani na krok nie mogą naprzód postąpić, bo miejscowa ludność, a z nią także niektórzy inteligentniejsi sprzeciwiają się całą siłą wszelkim ulepszeniom w Zakopanem. Autor „Nowej klimatyki“ rozwiązuje sprawę radykalnie: znieść klimatykę, a w jej miejsce zawiązać spółkę prywatną z właścicieli will przy ulicach Zamoyskiego, Chałubińskiego i Chramcówkach, a w ślad za tem Nowa klimatyka obejmie tylko te wymienione ulice.

Rozpatrzywszy się w tej propozycji, widzimy, że z ogólnej długości ulic Zakopanego wyłącza nowy projekt tylko 4 kilometry, że z ogólnej liczby domów stojących na obszarze stacji klimatycznej zatrzymuje nowy projekt 104 domów, o 1107 pokojach, rozrzuconych na obszarze 10□ klm. czyli, że reszta 471 domów o 2215 pokojach, stoi na obszarze również 10□ klm., — przeciętych ośmioma klm. ulic!

Autor projektu bardzo szczęśliwie znalazł się w zgodzie, nietylko z ograniczeniem obszaru, lecz także z wyłączeniem właśnie tego obszaru, który już dziś zbyt ciasno i nie hygjenicznie zbudowany, nie powinien rościć pretensji do uzdrowiska. Nie uchybiając Krupówkom, Kasprusiom i ulicy Kościeliskiej, nie możemy zaprzeczyć, że tak dobrze hotel „Morskie Oko“, jak Effenbergierówka, Szałas itp. wcale nic nie zyskają ani stracą, czy będą czerpały wodę z potoku, ze studni, czy z wodociągu; okolica w której stoją, nigdy nie może być miejscem klimatycznem, tylko jakimś jarmarkiem, targowicą lub czemś podobnem, a swoją drogą mogą się one znakomicie rentować, a nawet lepiej niż gościnne wille, ale na mieszkania dla kuracjuszów nigdy zdatne nie będą.

Zakopane bardzo nieopatrznie zostało przez Namiestnictwo ogłoszone jako uzdrowisko, a pozostawione w dzikim stanie zwykłej górskiej wioski. Zaczęto ściągać od gości taksy pod pretekstem, że za nie będzie klimatyka oświetlać ulice, utrzymywać lekarza, policję, budować drogi, chodniki, bawić gości muzyką, kropić drogi, usuwać błoto z ulic lub śnieg itd. słowem, kazano płacić za czynności, które dobrze wychowani ludzie dają wszędzie zadarmo. Zaczęli napływać kuracjusze, płacili taksy, lecz narzekali, że nie wiedzą za co płacą. Klimatyka broniła

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 8 Grudnia 1903 r.

się, że z taks płynie jej za mało, aby mogła coś więcej dla gości zrobić poza tem co robi, czuła jednak, że nie jest w porządku, że, aby brać od gości taksę, powinna ten podatek czemś upozorować. Wydział krajowy przyszedł wreszcie klimatyce w pomoc i wybudował w Zakopanem prześliczne drogi i ulice, ale też i na tem koniec. Władzom krajowym zdawało się, że miejscowe czynniki nie umieją się dobrze rządzić i przysłały do Zakopanego komisarza rządowego jako prezesa klimatyki.

Wybór padł bardzo szczęśliwie na p. Piątkiewicza, który w trzech latach swego urzędowania nadał Zakopanemu wygląd prawdziwego uzdrowiska. Dziesięć kilometrów chodników, wszystkie ulice rozszerzone i uporządkowane, kilkaset latarń, jakie w Wiedniu w Praterze widzimy, cały tabor przyrządów do skrapiania, zamiatania i wywożenia śniegu na ulicach, zorganizowani furmani, uporządkowany system wywożenia nieczystości, pozostaną wspaniałą pamiątką jego energicznej pracy i chwalebną zasługą troski o uzdrowisko. A przecież Zakopane nie jest jeszcze miejscem klimatycznem tak urządzonem, aby mogło iść w zawody z zagranicznemi. Zakopane ma cudne Tatry, wspaniałe położenie i rozkoszne powietrze, tj. ma wszystkie przymioty i dary od Boga; ludzie uczynili tu jeszcze bardzo mało. A przecież klimatyka istnieje tu już blisko lat 20! Dużo co prawda zrobiono, lecz jeszcze bardzo dużo pozostaje do zrobienia i to — przyznajmy to otwarcie — bardzo szkodzi Zakopanemu.

Klimatyka, owa urzędowa pieczątka na uzdrowisku musi być bez zarzutu, inaczej, lepiej niech się klimatyką nie nazywa, bo nazwą swą nikogo nie powinna w błąd wprowadzać, naprawić te stosunki może łatwo projekt nowej klimatyki.

Przestrzeń 10 □ klm. obejmująca ulice Chramcówki, Jagiellońską, Chałubińskiego i Zamoyskiego zabudowana dotąd szeregiem will, stojących w ogrodach i w lesie na grubej warstwie szutru, czyli idealnie sucha i jakby pod uzdrowisko stworzona, ma wszelkie warunki do urządzenia na niej „klimatyki“.

Aby klimatyka była bez zarzutu, musi mieć porządne i wygodne domy, te są. Potem musi mieć wygodne ulice, te również już istnieją.

W końcu musi mieć idealnie czystą wodę, porządne oświetlenie i wszelkie urządzenia, które chronią od zanieczyszczenia powietrza i gruntu — czyli jak najlepszą kanalizację. Te tak zwane „inwestycje“ musi mieć „nowa klimatyka“ inaczej nie będzie żadną klimatyką.

Cztery kilometry ulic zaopatrzyć w wodę, w kanalizację spławną i oświetlić chociażby elektrycznie, to koszt z pewnością nie większy, jak 100.000 koron!

Otóż, jeżeli właściciele domów na powyższych ulicach chcą mieć prawdziwą klimatykę niech się zdobędą na ową sumę, niech urządzą co potrzeba i niech potem czekają spokojni; goście przyjadą, inwestycje zapłacą, bo nie potrafią wszystkich zgłaszających się pomieścić, a inne dzielnice Zakopanego, choć bez taksy, będą pustkami świecić.

Bardzo fałszywie ten sądzi, kto bierze za przykład Poronin, Witów lub Zakopane z przed 30 laty. Goście jadący tam, nie bardzo wzbogacają okolicę; czynsz za domek w Poroninie 60 kor. nie może iść w porównanie z czynszem za taki sam domek w Zakopanem! Według stawu grobla, potrzeba nam Poroninów, bo nie wszystkich stać na Zakopane; gdyż tak, jak są ludzie jeżdżący powozami, muszą być i piechury itp.

Autor „Nowej klimatyki“ narzeka na radnych zakopiańskich, że są zacofani i nie chcą wodociągów. Sądzimy, że oni nie tylko mają słuszność, lecz, że naczelne władze krajowe powinny nawet wziąć ich w obronę. Nie widzimy żadnej konieczności a zatem i potrzeby urządzać uzdrowisko w okolicy hotelu Morskie Oko, tartaków, Pawlicy, zajazdu Jaciny, targowicy, szałasu, Sobczakówki, Janików i wielu, wielu innych tym podobnych pałaców klimatycznych! Rozumiemy zupełnie radnych z tych okolic, gdy nie chcą żadnych inwestycji, a nawet zwracamy uwagę Wydziału krajowego, że wyrzuci bezpotrzeby kilkaset tysięcy koron na wodociąg dla ulic, nie nadających się żadną miarą do tak kosztownej oprawy, jaką jest właśnie wodociąg.

Naszem zdaniem, powinien Wydział krajowy obecną klimatykę zwinąć i dopiero wówczas nową otworzyć, gdy czynniki miejscowe poczynią takie urządzenia, które od pojęcia klimatyki są nieodłączne.

Naszem zdaniem, mają zupełną racyę ci panowie radni z Krupówek, Kościelisk i Kasprusia, którzy wodociągów nie chcą, i którzy chcą zwabić do swych will i hotelów gości z Poronina i Witowa.

NIEUCHWYTNY.

O zmroku, znużony bardzo, usiadłem na pagórku pod lasem Nossac. Przed nami, za staremi sztachetami ze złoceniami przez rdzę zeżartemi, ciągnęła się długa aleja, wysadzona omszałymi dębami, a dalej, w głębi, wznosił się stary zamek, poczerniały i tajemniczy. Domowstwo to, samotne i głuche, zdawało się rozpościerać swój fantastyczny stosnnek na otaczające je wysokie drzewa, tak, że opanowany nagle dziwnie przykrem uczuciem, zacząłem się wypytywać notarjusza Gomera, mego towarzysza łowów i przewodnika w lasach bretońskich.

— Posiadłość ta należy go hrabiego Montego, który wyemigrował około 1840 roku do Ameryki i nie wrócił już wcale do Francyi, — odpowiadał mi Gomer. — Rządcy swojemu, Hancourtowi, polecił sprzedać posiadłość; ale Hancourt urodzony na tej ziemi i przywiązany do niej namiętnie, zawładnąwszy raz posiadłością, odpędzał wprost kupców. Skryty, nieufny, dzikiego usposobienia i z pewnością trochę warjat, człowiek ten szerzył postrach dookoła siebie. Chłopi utrzymują, że żyje jeszcze, sam, niewidzialny i ździczały w tym błędnym parku i w tym domu w ruinach.

— Bardzo stary musiałby być ten człowiek?

— Oh, bardzo. Podczas ostatniej jednak mojej w Nossac bytności, przed laty dwudziestu, stary ten czarownik miał jeszcze bardzo zdrowe nogi i oczy.

— W jakim celu pan tu przyjeżdżał?

— Ależ właśnie w sprawie tego zamku — tłumaczył mi notarjusz, nie bez wahania spoglądając z ukosa na sztachety. — Niejaki Dargis, Paryżanin zawrócił sobie głowę tem ponurem domostwem, temi stuletniemi drzewami, tym wielkim stawem o wodach zatrutych pełzającymi pośród zielsk i nenufarów gadami. Dzięki mnie, interes przyszedł do skutku, pomimo tysiącznych trudności, stawianych przez Hancourta. Akt najmu podpisaliśmy w Nossac. Tego samego dnia, podczas gdy Dargis, uszczęśliwiony, opisywał mi radość swojej żony i córki, która będzie mogła bawić się z całą swobodą w tem uroczem ustroniu, zauważyłem rzucony ukradkiem, złośliwy uśmiech ojca Hancourta, bladego, zabawnego staruszka o oczach sowy, haczykowatym nosie, wąskich, zaciętych ustach, z wychudłemi, ogromnemi rękami, w wyszarzanem ubraniu koloru starego muru. Wkrótce potem, z pokorną a przebiegłą miną, prosił nowego lokatora o zatrzymanie go jako rządcy, a choćby jako dozorcy. Ale Dargis, którego prawdopodobnie widok tego chytrego starca, podobnie jak mnie, przejmował odrazą, odmówił stanowczo. Hancourt po bezskutecznych błaganiach a nawet groźbach, otrzymał ostatecznie rozkaz wyprowadzenia się tego samego wieczora. Przeraziłby się pan, tak jak ja wówczas, gdyby pan był zobaczył ten zwrok zaiskrzony, to spojrzenie strasznej nienawiści, jakiem niebezpieczny starzec obrzucił Paryżanina.

— Ale Hancourt musiał się przecie wynieść?

— Trzeba go było wyrzucić przez żandarmów. Uważał się za skrzywdzonego, wypędzonego z własnego domu, i według zapewnień fermera, tej samej zaraz nocy wrócił w sekrecie i schował się w piwnicach, czy na strychu u zamku.

A Dargis?

— Sprowadził się — rzekł notarjusz, spoglądając znów niespokojnie w aleję. — I jakkolwiek Bretończycy przy swojej wierze w rzeczy nadnaturalne przesadzają zapewne nie jedno, szczegóły tego pobytu są tak dziwne, że samo wspomnienie ich przejmuje zabobonnym strachem... zwłaszcza w tej porze zmroku i tak blisko miejsca, gdzie się to wszystko działo...

Pomimo, że opanował mnie niewytłomaczony niepokój, nie przestałem wypytywać się mego towarzysza, który też, ulegając moim prośbom, opowiadał mi dalej przyciszonym głosem:

— Wkrótce po zniknięciu ojca Hancourta, — mówili mi chłopi — przybył Dargis z żoną, córeczką, ze służącym Piotrem i kucharką, Wiktoryą. Było to wieczorem, a wieczór zapada bardzo prędko w lesie. Z wilgotnej ścieli z opadłych liści wznosiły się mgły i znikały w wielkich alejach za powiewem wiatru, przesuwając się jakby białe widma po wysokich trawach. Pani Dargis miczała, ze ściśniętem sercem, a dziewczynka wystraszona tuliła się do matki.

W zamku było gorzej. Pomimo polecenia danego jednemu z fermerów, żeby światła pozapalał i ogień na kominkach rozniecił, drzwi i okna ponurego domostwa zastano zamknięte. Ferma była daleko, i ażeby się dostać do środka, musiał służący wyłamać okiennicę i zbić szybę. Wśliznął się w ten sposób do domu jak złodziej. Inni czekali dość długo na dworze, a wewnątrz dochodziło ich, zdawało im się, jakieś tupotanie i jęki. Nareszcie zgrzytnęła zasuwa, drzwi rozwarły się z trzaskiem i Piotr, zmieszany rzekł zadyszanym głosem:

— Ktoś jest w zamku! Czułem kogoś, postępującego za mną w ciemności. Kiedy chciałem państwu otworzyć, dwie wielkie, zimne ręce uczepiły się moich rąk, ażeby mi przeszkodzić w odryglowaniu drzwi. Otworzyłem je jednak dzięki mojej sile, a ten ktoś uciekł.

— Nie mów głupstw Piotrze, — rzekł Dargis, wskazując na kobiety i dziecko, cofające się ze strachu. — Spróchniała posadzka trzeszczała, drzwi nie mogłeś otworzyć — wszystko to zmieszało cię, ale w zamku z pewnością niema nikogo.

Dargis wszedł śmiało. Za nim postępowała cała gromadka. Kiedy Piotr zapalał zapałkę, spostrzeżono, że dzielny chłopiec miał ręce podrapane. Nigdzie żadnej lumpy, żadnego lichtarza. Na kominkach ani śladu ognia. Paryżanie błąkali się po wielkich, wilgotnych i pustych pokojach, gubili się w labiryncie korytarzy z budzącymi niepokój zakamarkami. Piotr znalazł nareszcie niedopałki świec w jakiejś starej szafie w murze. Odetchnęli wszyscy. Zapalono na kominkach gazetami i kawałkami starych desek; pościelono łóżka, nakryto stół i spożyto na wieczerzę przyniesione ze sobą zapasy. Pan Dargis żartował:

— Niema już duchów! My je teraz będziemy straszyć!

Śmiano się, a Piotr przyznał, że sam, śpiesząc się, musiał sobie ręce przy otwieraniu drzwi podrapać.

Zabarykadowawszy wszystkie drzwi, położono się spać.

Spano dobrze. O północy jednak zbudziła się pani Dargis, opanowana trwogą. Zdziwiona bardzo, gdyż nie było najmniejszego wiatru, zauwa-

żyła, że otworzyła się zwolna jedna z okiennic i przy świetle księżyca zobaczyła bladą twarz, przytuloną do szyby, ażeby lepiej wpatrzyć się w nią połyskującemi, przenikliwemi oczami sowy. Krzyknęła, okiennica trzasła i zbudził się mąż. Przypuszczał, że jej się coś śniło; ale po pierwszych słowach wyjaśnienia, podbiegł do okna i otworzył je; gazon, cały park, wszystko skąpane światłem księżyca, wydawało się puste. Dargis zamknął okno, długo jednak nie mogli zasnąć oboje.

Dzień rozprąszył obawy nocy. Nowy pan zamku, pozostawiając urządzenie mieszkania żonie i służbie, udał się do fermy. Na wymówki pana, fermer zapewniał, że pootwierał drzwi i okna, przygotował lampy i rozniecił ogień na kominkach w paru pokojach. Zdumiony był, dowiedziawszy się, że drzwi zastano zaryglowane.

Dargis przyprowadził psa z fermy.

W pięciu najmniej zrujnowanych pokojach rozstawiono wszystkie meble, jakie znaleziono w zamku i mieszkanie okazało się bardzo wygodnem. Dargis zachwycał się sam jeszcze, kiedy wpadła nastraszona kucharka:

— Niech Piotr idzie na dół. Boję się sama w tej wielkiej suterenie. Gdy chciałam dostać się do spiżarni, czułam jak ktoś podpierał drzwi, nie pozwalając mi otworzyć. Potem, uciekając z kuchni, widziałam jakąś szarą postać, znikającą w ciemnym korytarzu. Nóg już pod sobą nie czuję!

Z wielką trudnością udało się uspokoić Wiktorję. Żaden inny wypadek nie wydarzył się już tego dnia i zabarykadowawszy się jeszcze lepiej, zaopatrzywszy dobrze okiennice, spali wszyscy doskonale, oprócz kucharki, która utrzymywała, że słyszała jakieś skradanie się i plądrowanie. Rano rzeczywiście, znaleziono niektóre drzwi, otwarte wieczorem, zaryglowane.

Dargis nie wątpił już, że ojciec Hancourt wcale nie był duchem. Nie uprzedzając żony, przeprowadził ponowną rewizję całego domu w towarzystwie psa. Nic jednak nie wskazywało na obecność niegodziwego szaleńca. Ale czy nie było jakiego schowku, gdzie można było ukryć się niepostrzeżenie?

— Ten dom nawiedzają złe duchy — utrzymywała młoda żona Dargisa. — Uciekajmy stąd, bo nas spotka nieszczęście!

Ale Dargis uznał, że byłoby śmiesznem ustępować, przed starym maniakiem. Cały tydzień upłynął wśród nieustannego popłochu. Kury, kaczki, króliki znajdowano na podwórzu nieżywe, jakby poduszone przez kunę. Pies, przyprowadzony z fermy, wył całą noc do księżyca, położył się nad ranem, jęczał, a w południe już nie żył.

Pewnego dnia zdawało się Piotrowi, że dostrzegł w okienku na strychu Hancourta. Rzucił kamieniem. Blada twarz znikła. Służący wyszedł po cichu na strych; nie zastał już nikogo! Od tej chwili jednak, ile razy ktoś zbliżył się do okna, kamienie, rzucane zręcznie nie wiedzieć skąd, wybijały szyby. Wiktorya dwa razy została skaleczoną w czoło. Nie śmiano już stanąć w oknie. Nie wychodzono bez broni.

Innego znów dnia, w parku, Dargis na odgłos trzeszczących za nim gałęzi, wyobrażając sobie, że starzec go śledzi, chwycił za rewolwer, obrócił się nagle i strzelił do szarej postaci, ukrywającej się w gąszczu. Myślał, że się myli, ale podszedł do krzaków i na zielonych liściach zobaczył kilka kropli krwi. I odtąd, gdy które z nich pokazało się w parku, w biały dzień nawet, kule wypuszczane z procy, czy z wiatrówki, świstały im zawsze koło uszu.

Człowiek w ubraniu koloru starego muru nie pokazywał się już, ale domyślano go się ukrytego wszędzie szpiegującego dzień i noc. I Paryżanie w wiecznej trwodze przed niewidzialnym wrogiem, odchodzili od zmysłów, nie śmieli jeść, spać, prawie oddychać inaczej, jak tylko razem, przytuleni jedno do drugiego.

Kobiety nie przestawały błagać, żeby się wyprowadzić. Mężczyźni nie chcieli ustąpić. I stało się nieszczęście.

Pewnego słonecznego popołudnia, po śniadaniu, mała córeczka zeskoczyła z kolan matki, ażeby z ganku rzucić trochę okruszyn chleba swoim gołębiom. Zaledwie wyszła za drzwi, pani Dargis wstała i podążyła za nią. Dziecka jednak nie było ani na ganku, ani na schodach, ani na gazonie. Nikt jej nie widział. Pani Dargis oniemiała z przerażenia. Jej oczy widziały tylko otwór, czarną dziurę pod ostatnim stopniem schodów. Czy może dwie ogromne, chude ręce, wynurzyły się stamtąd, porwały swoimi długimi palcami omdlałe z przestrachu dziecko za fałdy sukienki, wciągnęły je do tej ciemnej piwnicy i udusiły, jak pająk dusi muchę!

Na tę myśl, matka wrzasnęła głosem obłąkanej. Zbiegli się wszyscy. Wskazała w milczeniu otwór, tę czarną paszczę, która pożarła jej dziecko. Piotr przetrząsał piwnicę, podczas gdy Dargis pilnował wejścia, a Wiktorja pobiegła do fermy. Godziny zeszły na poszukiwaniach. Nic nie znaleziono.

O zmroku dopiero, Piotr przechodząc koło stawu, spostrzegł coś białego, pływającego pomiędzy wodnymi porostami. Był to trzewiczek małej Dargisównej. Na jej obnażonych, pulchnych ramionach pełno było krwawych znaków od ukąszeń pijawek, a z ładnych, białych policzków trzeba było odrywać te czarne robaki. Biedne dziecko miało knebel w ustach, a jej wątłą, delikatną szyjkę ściskał sznur z przywiązanym w końcu kamieniem...

Zaledwo notarjusz skończył swoje opowiadanie, coś niewidzialnego, wypuszczonego z głębi parku, spowitego mgłą, przeleciało przez stare sztachety, świszcząc jak kula koło naszych uszu. Drgnęliśmy równocześnie na ten podmuch śmiertelny. Wstałem i, nie oglądając się, nic do siebie nie mówiąc, oddaliliśmy się szybko, opanowani niewypowiedzianym lękiem.

I nie wiedziałem czy ucho moje musnął ptak nocny, czy wypuszczona ze zdradzieckiej, cichej broni kula.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

— Słuchaj, Nello — odezwał się m lioner, pociągając córkę w najciemniejszy kąt piwnicy — przypuszczamy, że Julian będzie próbował zatruć butelkę pewnego gatunku wina, używanego wyłącznie przez księcia Eugeniusza. Jak myślisz, czy człowiek widziany przez ciebie, jest rzeczywiście Julianem?

— Poprzednio nie miałam go na myśli, ale z chwilą, gdyście wymienili jego imię, stanęło mi w pamięci podobieństwo ruchów tajemniczego gościa z ruchami tamtego nicponia; tak, niewątpliwie, to Julian.

— Słuchaj więc, co ci powiedzieć chcę; niema czasu do stracenia. Jeśli on przyjść zamierza, ujrzymy go tu niebawem... w takim razie możesz nam być pomocną.

To rzekłszy, Racksole wyjaśnił, jaką będzie prawdopodobnie taktyka ekskelnera; dowodził, że nie należy mu przeszkadzać, tylko śledzić go pilnie z za drzwi szklanych.

— Życzysz pan sobie osobiście żywcem pochwycić Jacksona? — pytał Babilon, zdziwiony nową metodą postępowania ze złoczyńcami. — Łatwiej i prościej byłoby zawiadomić policyę, zostawiając jej wolne pole działania.

— Zaszliśmy zbyt daleko, kochany panie, bez pomocy policyi, iżby można było przywoływać ją teraz, gdy sprawa tak bardzo posunięta. Przyznaję nadto, że mam wielką ochotę własnoręcznie pochwycić łotra. Zostawię was tutaj z Nellą, skoro ona chce koniecznie widzieć wszystko naocznie, a sam postaram się, iżby Julian, wszedłszy do piwnicy, więcej z niej nie wyszedł, przynajmniej nie przez kratę w lufcie. Stańcie za szklanemi drzwiami w tamtej drugiej piwnicy, skąd będziecie mogli obserwować wszystko, co hultaj czynić zamyśla. Jeśli ma w hotelu wspólników, zdołamy to wykryć niewątpliwie. Ja zaraz odchodzę.

Zapaliwszy zapałkę i zasłaniając światło ręką, Racksole wyprowadził córkę i Babilona z małej piwniczki.

— Zamkniecie drzwi szklane od zewnętrznej strony — mówił — nie będzie mógł uciec; szyby zbyt małe a okucia zbyt silne, iżby zdołał przedostać się tą drogą. Jeśli wpadnie w pułapkę, będziecie mieli przyjemność, sami nie narażeni na niebezpieczeństwo, widzieć go szukającego rozpaczliwie wyjścia. Lepiej jednak, iżby on was nie widział.

Po chwili Babilon i Nella stali w dużej piwnicy i słyszeli oddalające się kroki Racksola, zaraz jednak doszedł ich uszu odgłos innych kroków z przeciwnej strony i ujrzeli przez szyby usuwaną kratę w lufcie.

— Byle tylko ojciec pani zdążył na czas! — szepnął Babilon.

— Sza! cicho! — przestrzegła młoda dziewczyna i zapanowało głuche milczenie.

Człowiek jakiś przeciskał się ostrożnie przez otwór w kracie; stojący na straży niewyraźnie tylko widzieć mogli jego postać w ciemności. Znalazłszy się w piwnicy, intruz bez chwili wahania przystąpił do świecznika i zapalił światło elektryczne. Był to niewątpliwie, doskonale obznajmiony z miejscowością, Julian. Babilon zaledwie mógł powstrzymać krzyk oburzenia, widząc śmiałego, nie przebierającego w środkach ekskelnera, kręcącego się z taką pewnością siebie wśród rzędów drogocennych butelek. Julian podążył zaraz do półki, oznaczonej numerem 17 i wziął z niej na górze leżącą butelkę.

— Romanée-Conti... wino księcia Eugeniusza — szeptem mówił Babilon.

Nicpoń przyniesionem w tym celu narzędziem odjął zręcznie wierzchnią z korka pieczęć, następnie z bocznej kieszeni surduta wyciągnął małą flaszeczkę, zawierającą ciemny płyn jakiś. Nabrawszy tego płynu na palec, łotr potarł nim brzeg butelki, poczem zakorkował ją ponownie, przyłożył odjętą pieczęć i położył na dawnem miejscu.

Załatwiwszy tę czynność, zakręcił kran w świeczniku, szykując się do powrotu tą samą, jaką przyszedł, drogą. Gdy był już blisko kraty, Nella zawołała:

— Gotów uciec! papa nie zdążył obejść dokoła. Musimy go przytrzymać.

Babilon jednak, będąc uosobieniem przezorności stanowczo choć grzecznie przytrzymał krewką dziewczynę i zanim ona zdołała wyswobodzić się z rąk jego, ekskelner zniknął za kratą.

XXIV.

Butelka z winem.

Teodor Racksole, który miał u wylotu wentylatora przytrzymać złoczyńcę, wyszedłszy z piwnic, dążył o ile mógł najśpieszniej dokoła zabudowań hotelu na ulicę Salisbury. Z powodu jednak obszaru owych budowli, przestrzeń, jaką milioner musiał przebyć, wynosiła prawie ćwierć mili angielskiej; dodawszy do tego różne schody, zakręty przebiegane w ciemności, Racksolowi wycieczka ta zabrała co najmniej pięć minut czasu. Nadomiar złego, zanim dosięgnął ulicy, Amerykanin zmuszony był odpowiedzieć na pytanie jednego z gości hotelowych, który zbłądziwszy w korytarzach, nie mógł trafić do numeru. Jak wiadomo, z tej strony ulicy Salisbury znajduje się załam muru; Racksole wymijając przeszkodę, wpadł na tego samego policyanta, który przed kwadransem tak uprzejmie użyczał Julianowi zapałkę; w obecnej chwili stróż porządku publicznego mniej grzecznie był usposobiony.

— Hola! — zawołał, a wrodzona jego podejrzliwość rozbudzona została widokiem biegnącego szybko człowieka w stroju wieczorowym, bez kapelusza. — Co to znaczy? Gdzie panu tak śpieszno? I przemocą zatrzymał Racksola, przypatrując mu się zbliska.

— No, panie policyancie — rzekł milioner spokojnie — tym razem zbytnia gorliwość twoja, puść mnie, nie mam czasu do stracenia.

— Przepraszam pana — rzekł policyant trochę z niedowierzaniem, dozwolił jednak Racksolowi iść dalej.

Plan Amerykanina dla pochwycenia Juliana na tem polegał, że korzystając z drabiny przystawionej do muru, Racksole chciał przejść na małe podwórko i tam zaczaiwszy się, czekać na wyjście Jacksona z piwnicy. Milioner stawiał już nogę na szczeblu drabiny, gdy naraz silna dłoń jakaś chwyciła go z tyłu za kołnierz i ściągnęła na ziemię. Racksole nie rachował na czujność policyanta; stróż bezpieczeństwa dążył wprost za nim, podejrzewając jego zamiary. Widok wchodzącego na drabinę utwierdził policyanta w czynionych przypuszczeniach, wskutek czego pochwycił sromotnie Amerykanina. Daremnie ten ostatni prosił, klął, tłómaczył, niczem niewzruszony policyant żądał, aby Racksole powrócił z nim do hotelu dla sprawdzenia tożsamości jego osoby. Jeśli podejrzany przechodzień okaże się rzeczywiście właścicielem hotelu Babilon, w takim razie policyant obiecywał przeprosić go za pomyłkę. Nie było tedy innego sposobu i milioner uledz musiał. Naturalnie sprawdzenie jego osobistości zajęło tylko parę minut czasu; Racksole rozdrażniony ale chłodny jak zawsze, powrócił do drabiny, policyant zaś poszedł dalej obchodzić swój rewir, a spotkawszy kolegę, zabawiał go prawdopodobnie szczegółami osobliwej przygody.

Tymczasem Julian, nieświadomy zajść tych i nie przeczuwając grożącego mu niebezpieczeństwa, załatwiał czynność swoją w piwnicy i gdy Racksole powrócił na ulicę Salisbury po raz drugi, ujrzał w odległości kilkudziesięciu sążni mężczyznę, dążącego nad brzeg rzeki. Milioner domyślił się zaraz, że to Julian uchodzący bezkarnie z winy policyanta. Amerykanin biedz zaczął, ale i ekskelner, słysząc przyspieszone kroki, uciekał szybko. Jackson był zwinny; dobiegłszy nad rzekę, wskoczył na mur bulwarku i, ku zdziwieniu Racksola, rzucił się do wody.

— Czyżby z rozpaczy chciał popełnić samobójstwo? — myślał Amerykanin, biegnąc ciągle, za chwilę jednak dym i szum przepływającej szalupy parowej przekonały Racksola, że Julian nie zamierzał odbierać sobie życia. Szalupa odbiła od bulwarku i płynęła w stronę mostu London-Bridge. Gruba mgła unosiła się nad rzeką; dokoła panowała cisza. Milioner musiał zaniechać pogoni...

Jakkolwiek Racksole w obrębie własnego hotelu dwukrotną odniósł porażkę: primo od Rocca, secundo od Juliana, nie mógł jednak przypisywać sobie winy za niepowodzenie planów swoich; niefortunne wmieszanie się policyanta było główną przyczyną przegranej tym razem sprawy. Wyrzuty sumienia z tego powodu nie odbierały mu snu w nocy.

Następnego dnia ojciec Nelli odszukał księcia Ariberta, z którym łączyło go już uczucie szczerej przyjaźni, opowiedział mu zajścia zeszłej nocy, zwłaszcza dolewanie podejrzanego płynu do butelki z winem Romanée-Conti.

— Zdaje się, że pan wczoraj wieczorem obiadowałeś z księciem Eugeniuszem?

— Tak, prawdą jest, że Eugeniusz kazał podać butelkę tego niezrównanego gatunku wina, którego jest wielkim amatorem.

— Czy będziesz pan z nim obiadował dzisiaj?

— Zapewne; dziś ostatni dzień naszego pobytu w Londynie; Eugeniusz pragnie jutro rano wyjechać z powrotem do Rüdesseim.

— Czy księciu nie przyszło na myśl — rzekł Racksole — że gdyby Julianowi udało się otruć pańskiego synowca, i pana jednocześnie pozbawiłby życia?

— Nie zastanawiałem się nad tem — odparł z uśmiechem Aribert — zapewne jednak tak stać by się mogło. Celując do grubego zwierza, Julianowi obojętną rzeczą, ile od jednego strzału drobniejszych sztuk padnie ofiarą. Teraz jednak nie potrzebujemy się obawiać jego knowań zbrodniczych. Pan wiesz, do której butelki wlał truciznę i tę butelkę zniszczyć możesz.

— Niszczyć jej nie mam wcale zamiaru — oświadczył ze spokojem Racksole. — Jeśli dziś wieczór przy obiedzie książę Eugeniusz zażąda wina Romané-Conti, postaram się, aby ta butelka właśnie była jemu i panu podaną.

— Więc pan chcesz otruć nas obu?

— Bynajmniej — zaprzeczył Racksole — chcę tylko wykryć wspólników łotra, mogących znajdować się w moim hotelu. Ściągałem już wiadomości odnośnie do piwnicznego Hobbarda. Wygląda to podejrzanie, że dziś panu piwnicznemu podobało się zachorować i leży w łóżku. Jak mi mówiono, Hobbard dostał w nocy kurczów żołądka, sam pono nie wie, czemu przypisać tę chorobę. Zastępować go ma w piwnicy jego pomocnik, młody chłopak, ale, jak wnosić można, przebiegły młodzieniaszek. Nie potrzebuję dodawać, że musimy na niego zwracać pilną uwagę.

— Nie rozumiem — przerwał Aribert — w jaki sposób wino zostało zatrute.

— Płyn oddałem do analizy, zaleciwszy czyniącemu ją chemikowi, aby ulał nieznaczną tylko ilość z odkorkowanej przez Juliana butelki, która następnie położona zostanie na dawnem miejscu w piwnicy. Sądzę, że trucizna musi być tak silną, iż własność zabójcza udziela się winu w chwili, gdy go się nalewa w kieliszek przez natartą płynem szyjkę.

— Ależ prawdopodobnie usługujący lokaj przed nalaniem wina wytrze butelkę.

(C. d. n.)

KRONIKA.

Ku uczczeniu rocznicy listopadowej odbył się w ubiegłą niedzielę w sali Towarz. tatrzańskiego uroczysty wieczorek. Słowo wstępne wypowiedział pan Danielak, poseł do parlamentu. W całej mowie p. posła była jedna znana nuta; Biadanie na separatyzm klas wyższych od obowiązków narodowych i apoteoza „sprawy chłopskiej". Jestto może najłatwiejsza droga do zyskania poklasku chwilowego w stronach, gdzie ostre różnice zapatrywań na nasze stosunki społeczno-polityczne jeszcze się tak jaskrawo nie zarysowały. Tam — na równinach — mówiłoby się już inaczej; to też mowa p. D. wywołała u znających dokładnie ludzi i „naszą sprawę" prawdziwy niesmak, a królewiacy spodziewali się wprost czego innego.

Program wieczorku wypełniły: Produkcye muzykalne chóru sokolskiego pod batutą znanego kompozytora p. Wrońskiego, który — jakkolwiek warunki i siły wcale nie są sprzyjające — niezmordowanie pracuje nad stworzeniem stałej drużyny śpiewackiej. Podziwialiśmy piękną grę na fortepianie pni R.. tudzież pni drowej Ch. z akompaniamentem p. W. Poprawnie odtworzyli amatorowie scenę z Kordjana i jednoaktówkę „W katordze". Sala była wypełniona. Dochód przeznaczono na budowę Sokolni zakopiańskiej.

Wiatr halny odśpiewał już swoją jeremiadę. Od soboty ubiegłej przykryły się wirchy gęstemi chmurami; jeno krzyż na Gewoncie wyjrzał czasem z poza tej czarnej gór opony. Z wyciem straszliwem wypadła chmura i siekła deszczem dzień i noc. We wtorek pod wieczór zakończyło się trzydniowe szarpanie żywiołów, pozostawiając powywracane drzewa, podziurawione dachy a u kuracyuszów — rozruszane nerwy, księżyc, wprawdzie jeszcze senny patrzy już przez rozkołysane obłoki i zapowiada czas suchy i mroźny.

Zabójstwo. W nocy z niedzieli na poniedziałek Sztaszek Jacinów pił piwo ze swą dulcinellą Kasią Stopka. Niespodziewanie nadszedł tam jego rywal, kazał piwa i, „pozdrówkał" się z Kasią. Staszek zazdrosny o dziewczynę nie żałował z początku języka a potem i ciupagi. „Zaciął" nią swego wroga tak trafnie w głowę, że ten w szpitalu dogorywa. „I żeby to choć było o co?... ale rąbać się o taką, co to do każdego się przymówi?... Powiadają, znający tę kronikę wypadków, że między góralami tak długo nie będzie spokoju, dopóki im władza nie zakaże bezkarnie nosić toporki; góral bez ciupagi, jak bez ręki, z nią on strojny i „kany się obertnie, sędyk prześpiecny", ale właśnie dlatego w gniewie groźny, a w szale niemający granic.

P. Zapolska, bawiąca obecnie w Zakopanem w zakładzie dra Chramca pracuje wraz z p. drem Andruszewskim nad tragedją p. t. „Samuel Zborowski". Sama autorka kieruje stroną techniczną utworu p. A. zaś dorabia wiersz. Akt czwarty (od aktu czwartego rozpoczęto pracę) tragedji, wyjdzie we czwartek w Kurjerze warszawskim.

Dr. Janiszewski zgłosił — jak nam donoszą, rezygnację z urzędu lekarza klimatycznego.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

Data	Ciepłota najniższa i najwyższa	Ciśnienie barometryczne	Stan powietrza
27/11	— 5·6 — 0·2	687·7	śnieg
28/11	— 14·3 — 3·3	677·5	pochmurno
29/11	— 5·5 + 2·0	674·5	wiatr halny
30/11	— 5·3 + 3·8	674·0	deszcz, wiatr halny
1/12	+ 2·6 + 6·9	677·2	deszcz, wiatr halny
2/12	— 3·3 + 5·6	680·0	deszcz i śnieg
3/12	— 3·3 + 6·8	695·0	pochmurno

Lista gości przybyłych do Zakopanego.

(Ciąg dalszy).

P. Henryk Slizień, obywatel ziemski z Litwy.
„ Zofja Browska, z Krakowa.
„ Janina Massalska, z Litwy.
„ Kazimierz Tomaszewski z żoną, z Warszawy.
„ Feliks Szukiewicz kupiec, z krakowa.
„ Bolesława Bienkowska.
„ Aniela Bienkowska ze Lwowa.
„ Janina Bodnarówna, ze Lwowa.
„ Ludwik Godlewski, z Maryampola.
„ Teresa Jakóbowska z córką, z Warszawy.
„ Wincentyna Karska, z Król. Pols.
„ Kopytowska z Warszawy.
P. Jakób Marek,
„ Regina Marek, z Warszawy.
„ Stefania Lesiewska, z Warszawy.
„ Jerzy Świrski, z Rosyi.
„ Br. Camilla Bauer-Hanenschield, z Wiednia.
„ Jadwiga Ursyn Pruszyńska, z córką, z Kijowa.
„ Józef Klama z Częstochowy.
„ Jan Drohojowski z Krzyszkowic.
„ Jan Jasieński ze Żmudzi.
„ Roman hr. Roztworowski z Warszawy.
„ Wacław Knopf z Warszawy.
„ Stanisław Ostrowski z rodziną, ze Lwowa.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.